

WIELE DOBRYCH RZECZY ZACZYNA SIĘ OD TEGO,
ŻE CZŁOWIEK CHCE COŚ ZMIENIĆ

IWONA
SŁABUSZEWSKA-KRAUZE



Retornados

LIRA
WYDAWNICTWO

Retornados

IWONA
SŁABUSZEWSKA-KRAUZE

Retornados

L i R A
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67654-26-5

PROLOG

Lizbona jest brudna, brzydka i tak okropnie zimna. Słońce, nawet jeśli je widać na niebie, nie daje ciepła. Nie otula człowieka kokonem żaru, raczej delikatnie go muska. To rozczarowujące. Domy się sypią. Z wielu z nich odpada tynk, kolory elewacji smętnie blakną, a futryny okien przekrzywiają się niesymetrycznie — wygląda to, jakby dom ślepl. W niektóre dni od strony targu niesie się zapach starego mięsa i niemytych rąk. Handlarki, te grube baby z tłustymi włosami, klnące bardziej niż marynarze, dwa razy w tygodniu przetaczają swe wyładowane po brzegi wózki z rybami, jajkami i pomidorami, dysząc przy pokonywaniu ulicznych stromizn. Ich biodra kołyszą się na boki, obcasy stukają o nierówne chodniki, a turkot kół budzi wszystkich w okolicy.

Avenidą — równie przygnębiającą jak pozostałe części miasta — suną stare samochody z upchanymi w środku rodzinami; jadą na niedzielny piknik, będą tam paluchami jeść sardynki, w których ości więcej niż mięsa. Wszyscy chodzą ze wzrokiem wbitym w ziemię, zaniedbane dzieci pałętają się po zaułkach. Jak ci ludzie przepłynęli ocean i podbili tyle miejsc na świecie? Wątpię, czy potrafią w ogóle czytać.

Powiem szczerze — lizbończycy to gnuśni prostacy o wąskich horyzontach, tak długo trzymani twardą ręką dyktatora, że zdążyli stracić resztki własnego rozumu. Chcieliby rządzić, a nie potrafią o niczym zdecydować, podjąć żadnego wyzwania, wszystko wzbudza w nich opór.

I nie mają pojęcia, nie mają najmniejszego pojęcia, jak to jest — stracić coś i budować od nowa. Jak to jest zostawić wszystko z dnia na dzień, pozwolić, by twój świat się rozsypał jak domek z kart, a plany rozwiały jak kupka liści. O niczym nie mają pojęcia. Myślą tylko o tym, żeby mieć spokój, żeby nikt im go nie zakłócał, żeby mogli oglądać te swoje mecze, pić sagres i plotkować przez balkony, jakby to były jakieś światowe konferencje. Posłuszne marionetki. Smętni konformiści o małych, wstrętnych duszach.*

Powiem szczerze — lepiej jeść trociny niż się z nimi zadawać.

* Sagres — produkowane od 1940 roku, najpopularniejsze piwo w Portugalii; jako pierwsze eksportowane poza granice kraju.

* * *

*Jeśli napiszesz do mnie,
ja napiszę do Ciebie
Jeśli zapomnisz o mnie,
ja zapomnę o Tobie
Aż do dnia, kiedy powrócisz*

Armando Zeferino Soares, słowa znane dzięki piosence
Sodade Cesáрии Évory

* * *

ROZDZIAŁ 1

Czekał na przystanku przy Avenida da Liberdade*, a ona szła, stukając obcasami. Nie sposób byłoby jej nie zauważyć, nie sposób było pozostać obojętnym. W piaszkowym płaszczu i takim samym berecie, założonym na jasnobrązowe, lekko pofalowane włosy, nie pasowała do zanurzonej w cieniu ulicy, do czarnych aut sunących szerokim traktem, do pogrążonych w półśnie ludzi na przystanku. Nie pasowała — wręcz wyróżniała się, była jak postać z innego obrazu, którą malarz omyłkowo umieścił w niewłaściwym miejscu, i Eduardo mimochodem pomyślał, że kobieta jest pastelowa. Takie miał pierwsze skojarzenie — jest pastelowa, w tym swoim płaszczyku i z tymi jasnymi włosami, i dlatego nie pasuje do ulicy pogrążonej w głębokim cieniu, przywołującej raczej na myśl obraz jakiegoś flamandzkiego mistrza pędzla. Kobietę rozświetlało wewnętrzne światło i musiał zauważyć to nie tylko Eduardo, bo pozostali oczekujący na przystanku również powiedli za nieznaną wzrokiem i odprowadzili aż do punktu, w którym zniknęła wśród przechodniów, na wysokości przecznicy z Rua das Pretas.

Drugi raz zobaczył ją kilka dni później. Stał w tym samym miejscu. Zawsze oczekiwał tu na autobus, który zawoził go do zakładu produkującego kable.

* Avenida da Liberdade (port. aleja Wolności) — reprezentacyjna arteria z zielenią i najdroższymi sklepami, wzorowana na bulwarach Paryża, ma ponad kilometr długości. Przez dekady przychodzono tutaj, żeby zobaczyć innych — i być zobaczonym.

Był inżynierem, miał swoje biurko i tabliczkę z imieniem i nazwiskiem, samo to już wzbudzało szacunek. A więc — Eduardo stał, a ona szła. Zobaczył ją z daleka. Nie było to może specjalnie zadziwiające, w końcu był w tym miejscu codziennie, a ona być może też właśnie wtedy codziennie zmierzała do pracy. A jednak poczuł, że to coś więcej niż zwykły zbieg okoliczności albo raczej reguła — poczuł, że to jakiś znak.

Tym razem też była sama. Zwrócił uwagę na jej chód. Nie dreptała małymi kroczkami jak większość tutejszych kobiet, nie kuliła pleców pod męskim wzrokiem — ach, nie! — wydawało się raczej, że zwracanie na siebie uwagi sprawia jej przyjemność. Co kilkanaście kroków poprawiała torebkę na ramieniu, ale nie rozglądała się. Nie patrzyła też pod stopy, głowę miała uniesioną wysoko, krok pewny, stanowczy — a może zdeterminowany? Nie mógł oderwać od niej wzroku. Było coś nieprzyzwoitego w tym, że pozwalała tak na siebie patrzeć. Kiedy zbliżyła się do przystanku, wstrzymał oddech i od razu pożałował, że nie włożył jakiejś lepszej koszuli, choć niepotrzebnie, bo ona przeszła dalej, nie obdarzając go nawet jednym spojrzeniem. Zostawiła za sobą delikatny zapach jaśminu, miłą dla nozdrzy mgiełkę. Pragnienie, by podążyć za nieznajomą, by przez chwilę pozostać w stanie totalnego zauroczenia, było od niego silniejsze. Autobus miał podjechać za kilka minut, ale nagle dla Eduardo przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie, podobnie jak to, że senhor Pablo, jego szef, będzie wielce niezadowolony, jeśli nie zastanie swojego ulubionego inżyniera przy biurku.

Czarna taksówka z jednym pasażerem w środku przemknęła Avenidą, wznecając kurz. Ten ruch powietrza natychmiast zniwelował zapach jaśminu i Eduardo pomyślał, że coś takiego nie powtórzy się drugi raz. Nie mógł pozwolić, by kobieta zniknęła. Ruszył za nią, trzymając się kilka kroków z tyłu i nie odrywając od niej wzroku. Spozrzegł, że nieznajoma nosi pończochy ze szwem, który biegnie równo po jej idealnie kształtnej łydce. Hipnotyzował go ten widok. Kołysała biodrami, stawiając pewnie kroki na śliskim bruku, a było w tym tyle seksapilu i elegancji, że Eduardo pomyślał, iż właśnie rodzi się po raz drugi.

Minęła gawera i Teatr Tivoli po drugiej stronie ulicy, z plakatem reklamującym *Siedmiu rycerzy zwycięstwa*. Eduardo był w tym teatrze raz czy dwa, jeszcze zanim podjął pracę w fabryce, potem nie starczało mu czasu na elitarne rozrywki. Ona szła dalej, pod pomnik Poległych w Wielkiej Wojnie, i jeszcze kawałek, do kiosku z prasą. Tam przystanęła. Wyciągnęła z torebki garść monet i podała ją sprzedawcy. Sięgnęła po dziennik „O Século”, ułożony na stercie innych gazet. Przewertowała kilka stron. Eduardo stanął z tyłu, chcąc zajrzeć jej przez ramię. Spozrzegł, że zatrzymała się na wojennych wiadomościach z Europy. Żeby nie wzbudzać podejrzeń, szybko poprosił sprzedawcę o papierosy i dwie paczki zapalek. Właśnie wtedy zaczął się deszcz. Nieznajoma spojrzała w zachmurzone niebo i pospiesznie złożyła gazetę. Ruszyła w stronę Rossio, Eduardo za nią, zastanawiając się, czy pomimo jego ostrożności już się zorientowała, że za nią podąża. Deszcz nasilał się, jakby chciał przerwać

Eduardo tę detektywistyczną przyjemność śledzenia, jakby chciał za wszelką cenę przepędzić go z ulicy. Kiedy doszli do placu, niebo otworzyło się i już po chwili siekło przechodniów mokrymi razami. Nieznajoma próbowała osłonić się torebką, ale szybko zrezygnowała. Przyspieszyła kroku i w chwilę potem Eduardo ze zdumieniem zobaczył, jak wchodzi do kawiarni *Nicola* i nie bacząc na zdziwione spojrzenia mężczyzn siedzących w środku, zajmuje stolik przy szerokim oknie. Wydawało mu się, że kąciki jej ust uniosły się nieznacznie, gdy go spostrzegła — stojącego w deszczu i wpatzonego w nią jak ciełą w malowane wrota, dwa metry od okna. Tkwił tam nieruchomo, urzeczony, kiedy ona rozpiniała mokry płaszcz, gdy składała zamówienie u kelnera i kiedy — zakładając powoli nogę na nogę, bez cienia wstydu — odwzajemniła spojrzenie Eduardo, stojącego samotnie na opustoszałym nagle placu Rossio.

Przez kolejne dni wspomnienie tej chwili kazało mu biegać po mieście i zaglądać w każdą uliczkę, do każdej możliwej kawiarni, w poszukiwaniu nieznajomej.

ROZDZIAŁ 2

To prawda, że na ulicach Lizbony ostatnio pojawiło się więcej nowych twarzy, zwłaszcza po kapitulacji Francji, i było to tak, jakby nagle świat dowiedział się o istnieniu zapomnianego miasta, jakby nagle stało się ono

wszystkim potrzebne. Może i tak było. W stolicy i okolicach na gwałt zapełniały się miejsca noclegowe, choć wcześniej całe budynki świeciły pustkami, a właściciele hoteli ubolewali nad pogłębiającym się kryzysem, który zmniejszał ruch w interesie. Teraz ci sami ludzie zachodzili w głowę, jak powiększyć swoje hotele, jak zmaksymalizować ich pojemność, jak zaoferować więcej cennej przestrzeni. Co bardziej zaradni zaczęli już modernizować pensjonaty i remontować przybudówki, choćby najbardziej liche, by móc je wynająć napływającym obcokrajowcom, przyjmującym każdy lokal z pocałowaniem ręki. Taksówkarze uwijali się, odpowiadając na rosnące zapotrzebowanie, równe niemal hotelowemu popytowi, kawiarnie dostawiały stoliki, a wszystko to razem sprawiało, że choć wojna była daleko, od kilku miesięcy każdy bardziej zdawał sobie sprawę z jej istnienia. Pomimo zawieruchy w Europie nie zmieniono jednak planów rozbudowy stolicy. Duarte Pacheco, pionierski urbanista, a jednocześnie minister robót publicznych i burmistrz Lizbony, od 1932 roku realizował wizje przywódcy narodu, Antónia de Oliveiry Salazara, a te były imponujące. Rok temu oddano do użytku doki w Alcântara i przystań w Belém, a pierwszy międzynarodowy port lotniczy Portela właśnie szykował się do otwarcia. Budowano Estrada Marginal — główną drogę łączącą stolicę z nadmorską miejscowością Cascais. Pola ciągnące się wzdłuż Avenida de Roma i Avenida 28 de Maio w północnej części miasta przekształcone zostały w prestiżowe osiedla. Nasadzano roślinami ogromny park Monsanto. Wytyczano nowe ulice. Rozbudowa Lizbony zakładała większą

dostępność tanich lokali, stawiano więc też komunalne domy jednorodzinne. Otwarte zostały nowe szkoły, urzędy i szpitale, remontów doczekały się zabytkowe pałace, zamki i teatry, a nawet cmentarze. Rozpoczęto też budowę wyjątkowego obiektu, o który prosiły lizbońskie kluby sportowe — Estádio Nacional, inspirowanego równie monumentalnym i zachwycającym berlińskim stadionem.

Wszystko to stanowiło pewnego rodzaju antidotum na smutne wieści, które dochodziły z Europy. Prasa musiała jednak informować także o przejęciu przez premiera funkcji ministra wojny, o ruchach wojsk hiszpańskich przy portugalskiej granicy, o poczynaniach Niemców w Europie i kolejnej fali emigrantów. Doniesienia te coraz bardziej wzbudzały lęk i obawy mieszkańców o bezpieczeństwo własne i kraju.

Tydzień później Eduardo, śledząc nieznaną, doszedł aż za Príncipe Real, do hotelu Castelo, z szyldem jaśniejącym na szczycie budynku jak betlejemska gwiazda. Kobieta weszła do recepcji. Utwierdził się wtedy w swoich wcześniejszych przypuszczeniach, że nie jest ona obywatelką Portugalii. Nie zdziwiło go też wcale, że w chwilę potem wyszła z eleganckiego wnętrza hotelowego i z kluczem w dłoni skręciła za róg kamienicy, by przejść przez bramę obstawioną popękkanymi doniczkami i znaleźć się na dziedzińcu, do którego blask szyldu już nie docierał i gdzie klucz pasował pewnie tylko do drzwi żółtej przybudówki o wąskich oknach. Ponieważ nie było jeszcze południa, dzień był piękny, a nieznaną wyraźnie się spieszyła, Eduardo wiedział, że nie będzie

musiał długo czekać. Przewidział, że kobieta wróciła do siebie tylko na chwilę. Obrął stanowisko przy zakładzie introligatora i czekał. Chodził. Maszerował. Przysiadł nawet na moment na krawężniku, ale wydało mu się to nieeleganckie i zaraz wstał. Zapalił papierosa i pykając dymki, przeszedł na drugą stronę ulicy. Wreszcie zajrzał przez drzwi do hotelu Castelo. Wnętrze wyglądało porządnie, miły recepcjonista zapytał, czy może mu w czymś pomóc. Eduardo zaprzeczył. Znow znalazł się na ulicy, skręcił w stronę bramy i omal się z nieznajomą nie zderzył. Skamieniał na myśl, że ta piękna kobieta może się do niego odezwać, ale przecież na to właśnie tylko czekał.

Odezwał się pierwszy. Uśmiechnęła się z tą samą bezczelnością, która uwiodła go już wcześniej. Musiała rozpoznać w nim zmokniętego mężczyznę z placu Rossio, nie mogło być inaczej. A jednak wyminęła go i ruszyła przed siebie, bez słowa.

Eduardo zaklął w duchu. Poczul, że jego życie jest bardzo monotonne. Udało mu się zdobyć dobre wykształcenie i miał porządną pracę, a kiedy wracał do domu, czekał na niego ciepły obiad. Ale to mu nie wystarczało. Od jakiegoś czasu nawet pasja wynalazcy nie przynosiła mu takiej radości, jak wtedy, gdy dopiero zaczynał studiować tajemnice prądu. Zresztą na wynalazki miał ostatnio coraz mniej czasu i to też go martwiło. Pojawienie się nieznajomej wszystko zmieniło. Eduardo znowu poczul w sobie siłę. Od kilku tygodni zasypiał z widokiem twarzy nieznajomej przed oczami, budził się z pianiem kogutów i pełen nadziei biegł na Avenidę.

Tam czekał — dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści minut, wypatrując kobiecej sylwetki, marząc, by nieznajoma znów się pojawiła, by zaczarowała go ruchem swoich bioder. Te kilka razy, kiedy udało mu się ją zobaczyć, wystarczyło, by zrozumiał, że nie dokonał w życiu dobrych wyborów. Ale mógł to zmienić. Właśnie teraz. O ile weźmie sprawy w swoje ręce.

Sekundy mijały. Eduardo wyteżył wzrok. Kobieta właśnie zniknęła za zakrętem. Odchodziła, i to z uśmiechem na twarzy, drwiąc z jego oddania. Dosyć tego! Zaczął biec, rozpychając się między przechodniami i omal nie gubiąc po drodze kapelusza.

— Proszę się zatrzymać, na litość boską — poprosił zdyszany, gdy wreszcie ją dogonił. — Błagam, choćby na chwilę. Proszę ze mną porozmawiać... Niech pani nie ucieka.

Uniosła głowę. Mógłby zatracić się bez reszty w tych oczach, mógłby pozwolić, by świat przeszedł obok, byle tylko on mógł dalej stać i tonąć w jej spojrzeniu w kolorze mahoniu.

— Czego pan ode mnie chce? Dlaczego pan za mną chodzi? — odezwała się, a on zrozumiał, że kobieta mówi słabo po portugalsku.

Uchylił kapelusza i gładkim francuskim przedstawił się:

— Eduardo. Chciałbym z panią porozmawiać. Proszę dać się zaprosić na spacer, tylko dwadzieścia minut, a potem zdecyduje pani, czy zechce zostać ze mną dłużej.

Przyjrzała mu się badawczo, z lekkim zdziwieniem, jakby dopiero teraz zobaczyła go naprawdę. Bał się, że odeśle go do stu diabłów, może walnie torebką, a już na

pewno — że odmówi. Uśmiechnęła się, ale tylko ustami, oczy pozostały nieruchome.

— O czym chce pan rozmawiać?

— O wszystkim! O tym, o czym pani zechce — poprawił się.

— Pan nie jest z policji?

— Z policji? — Omal się nie zachłysnęła. Czy przez cały ten czas podejrzewała, że jest z policji? Że ją śledzi z obowiązku służbowego? Owszem, w mieście roiło się od funkcjonariuszy, ale żeby akurat on? Szybko zaprzeczył.

— Wolę być ostrożna — wyjaśniła. — To miasto ma oczy i uszy szeroko otwarte.

— Dlaczego pani tak mówi?

— Może pan nie wie, ale teraz potrafią sprzedać człowieka za parę centavos.

— Mnie może pani zaufać. A więc jak będzie? — Postąpił krok naprzód. — Umówi się pani ze mną?

Ułożyła usta w lekki dziubek, który Eduardo natychmiast zapragnął pocałować, ale zrobiła to tylko po to, żeby przedłużyć nieznośne napięcie, które między nimi zapanowało. Ach, musiała dać mu szansę! Wiedział, że jeśli uda mu się namówić ją choćby na spacer, będzie potrafił utrzymać jej zainteresowanie.

— Niekoniecznie. — Obserwowała kątem oka reakcję Eduardo.

Przełknęła ślinę.

— Ależ proszę, tylko kilka minut rozmowy... Jak mam panią przekonać?

— Zawsze jest pan taki uparty? — Westchnęła.

— Nie, to mój pierwszy raz w życiu! — Spróbował uderzyć w żartobliwy ton.

Dotknęła włosów, poprawiła jeden z niesfornych kosmyków opadających na czoło. Zastanawiała się. Eduardo prawie nie oddychał, cały się spocił.

— *Demain** — rzuciła wreszcie. — Tutaj, o tej samej porze. Dwadzieścia minut. Ale proszę potem mnie nie zatrzymywać, będę mieć mało czasu — ostrzegła.

Poprawiła na ramieniu torebkę — ten ruch Eduardo już dobrze znał — i ruszyła przed siebie, zostawiając go z echem stukotu swoich obcasów.

ROZDZIAŁ 3

Zawsze chciałam przejechać się motocyklem, ale nigdy nie starczyło mi odwagi, żeby zapytać tego chłopca, Tiago, czy zabierze mnie na przejażdżkę. Chodził do mojej szkoły, miał trochę dłuższe włosy i nosił modne teraz spodnie z rozszerzanymi nogawkami. Do tej pory się nie przyjaźniliśmy, ponieważ Tiago zawsze był otoczony kolegami i chyba mnie nie zauważał. Słyszałam, że dostał ten motocykl na urodziny. Czasami przyjeżdżał nim do szkoły, chociaż równie prędko dotarłby do niej na piechotę, idąc na skróty przez park. Maszyna miała srebrny, lśniący bak i była bardzo głośna, przez co od

* *Demain* (fr.) – jutro.

razu było słycać, że Tiago się zbliża. Nigdy wcześniej nie siedziałam nawet na motocyklu, nie mówiąc o jeździe, i wymyśliłam sobie, że musi być to bardzo przyjemne. Może dlatego, że moja mama zrobiła prawo jazdy, w dodatku jako pierwsza kobieta w kraju, i ciągle powtarzała, jak wspaniale jest móc jechać, dokąd się chce.

Takie miałam nastawienie, gdy zobaczyłam pewnego dnia Tiago przed szkołą. Opierał się o ten swój błyszczący pojazd, co jakiś czas bezwiednie dotykając kierownicy. Rozmawiał z kolegą ze starszej klasy, ale kolega szybko odszedł i Tiago został sam. Poczułam, że to właściwy i najlepszy moment, i że tylko teraz mogę poprosić go o przejażdżkę. Podeszłam bliżej i już miałam się odezwać, ale Tiago zrobił to pierwszy.

— Cześć.

— Cześć — bąknęłam. — Piękny motocykl — dodałam szybko, bojąc się, że zaraz stchórzę i się wycofam.

Uśmiechnął się i — jakby znał wszystkie moje myśli — zaproponował:

— Może chcesz się przejechać?

Myślałam, że się przesłyszałam.

— Wsiadaj — rzucił. — Tylko musisz mocno się mnie trzymać!

Nie wahałam się ani chwili. Zajął miejsce za nim i ruszyliśmy z głośnym warkotem silnika. Tiago co jakiś czas odwracał do mnie głowę i przekrzykiwał ten hałas: „No i jak się jedzie? Podoba ci się? A zobacz, po lewej jest park, a tam dalej dojdiesz do boiska!”. Czułam na sobie powiew powietrza, który miło schładzał skórę. Wiatr nakrywał mi twarz włosami, budynki i drzewa

zostawały gdzieś z tyłu. Było to wszystko tak przyjemne jak kąpiel w upalny dzień w oceanie albo jedzenie lodów śmietankowych w plażowej *Café Doce*, w której dzieciom nakładano dodatkowe porcje bez dopłaty.

Pokrążyliśmy po mieście, a potem skręciliśmy na plażę, gdzie spotkaliśmy Emilię, moją najlepszą koleżankę. Emilia mieszkała na obrzeżach miasta. Nie było tam ulic, tylko ubity piach, a domy nie miały tarasów ocienionych pnączami ani ogrodów na tyłach, jak nasze. Może dlatego Emilia często przychodziła do mnie, do mojego ogrodu, do parku albo na plażę, jak teraz, gdzie zawsze dobrze się bawiliśmy.

Tego dnia razem z Emilią wykopaliśmy otwór w piasku i zagraliśmy w ngame. Emilia nas nauczyła. Gra polegała na tym, żeby wrzucić kulkę do otworu, nie przekraczając patyka położonego w pewnej od niego odległości. Tiago z kolei nauczył nas grać w kapsle, miał ich cały worek. Pokazał, jak zbudować tor na piasku i robić wyścigi, i tak spędziliśmy na plaży kolejną godzinę.

Od tamtej pory często spotykaliśmy się we trójkę. Tiago w naturalny sposób dołączył do naszych, moich i Emilii, eskapad. Zwykle biegliśmy razem na plażę, która stanowiła ogólnodostępny plac zabaw i była naszym ulubionym miejscem spotkań. Trzeba wiedzieć, że plaża w Bengueli jest szeroka i długa na kilka kilometrów, z miękkim, drobnym piaskiem i turkusową, przejrzystą wodą o tak przyjemnej temperaturze, że nie chce się z niej wychodzić. Ocean jest tu często spokojny, jego tafla niemal idealnie gładka. Uwielbialiśmy wbiegać do

wody z zamkniętymi oczami — startowaliśmy z końca plaży i próbowaliśmy zgadnąć, w którym momencie nasze stopy dotkną wilgoci. Sprawdzaliśmy, kto dłużej wytrzyma zanurzony pod wodą i kto wypuści nosem więcej powietrza. W inne dni, gdy czuliśmy głód, szliśmy do restauracji, którą prowadził ojciec Tiago. Serwowano w niej typowe dania portugalskie; takie były najchętniej zamawiane, ponieważ większość Portugalczyków nigdy nie przyzwyczała się do tutejszej kuchni. Mama co prawda czasami gotowała sytą catchupę z bananami i słodkimi ziemniakami, całkiem tutaj popularną, ale ona miała przecież korzenie cabowerdeńskie*, w prostej linii od babci Amarílis, więc to inna historia.

W restauracji ojca Tiago zawsze mogliśmy liczyć na świeżutki *pão*** czy kawałek ciasta upieczonego przez kucharkę Estelę. Ta restauracja była miejscem, w którym wszyscy urządzali urodziny i co ważniejsze rocznice, znaleźmy się więc dobrze. Może dlatego, nawet gdy nie wiedziała, gdzie jestem, mama nigdy się o mnie nie martwiła. Domyślała się, że jestem z przyjaciółmi na plaży, w parku albo w restauracji, że dobrze się bawię i wrócę na czas.

Kiedys umówiliśmy się, że przypieczętujemy naszą przyjaźń — moją, Emilii i Tiago. Przynieśliśmy nasze fotografie i każdy włożył swoją do metalowej skrzyneczki, bardzo ładnej, z okuciami. Tiago twierdził, że tę skrzyneczkę dostał od ojca, ale ja myślę, że ją po prostu

* Cabo Verde — Republika Zielonego Przylądka.

** *Pão* (port.) — chleb.

podkraść z warsztatu swego wuja, który robił różne rzeczy z metalu i był z tego w mieście znany. Na tyłach mojego domu, pod największym figowcem, wykopaliliśmy głęboki dół i umieściliśmy tam nasz skarb.

— Zakopimy to teraz, a jeśli kiedykolwiek przestaniemy spędzać ze sobą czas, będziemy mogli tu przyjść i odkopać skrzyneczkę, by przypomnieć sobie o naszym przymierzu. Zgoda? — zapytała Emilia.

Kiwnęliśmy głowami. Podobne przymierza zawierane były w książkach, które pasjami czytałam, ale to tutaj działo się naprawdę. Czułam podniosłość chwili i jej niepowtarzalność. Byliśmy tylko my, cisza i afrykański zmierzch. Potem zasypaliśmy dół ziemią i posadziliśmy w tym miejscu żółty kwiat, który Emilia wyrwała z grządki obok i który potem się nie przyjął, ale w tamtej chwili stanowił ładne zwieńczenie naszej ceremonii.

Jednak pewnego dnia wszystko zaczęło się zmieniać.

ROZDZIAŁ 4

— Padam z nóg — powiedziała mama, wchodząc do domu. Spojrzałam na nią, od kilku tygodni wyglądała na zmęczoną, każdego dnia bardziej. Nie wiedziałam jednak, czy było to zmęczenie fizyczne, czy też czymś się martwiła.

— W szkole wszystko w porządku? — Chciałam się upewnić.